



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na Wschodzie

ROK III Nr 10 (49)

NIEDZIELA 14 MARCA 1943 R.

CENA 20 FLS

ŻOŁNIERZE!

Oświadczenie sowieckie podane przez oficjalną agencję prasową w dniu 2 b. m. odmawia Polsce praw do jej ziem wschodnich.

W ten sposób Związek Sowiecki wyraźnie stwierdza, że chce zachować dla siebie pół Polski zajęte w 1939 r. na skutek umowy, jaką zawarł wówczas z Niemcami.

Ponadto oskarża się Rząd Polski, który był u władzy do września 1939 r., że prowadząc pro-niemiecką politykę, usiłował przeciwstawić Polskę Związkowi Sowieckiemu.

ŻOŁNIERZE! W tej poważnej chwili, jako wasz dowódca i ten, który z olbrzymią większością z pośród was dzielił gorzyc chleba więziennego i najcięższy los niewoli, który razem z wami przelewał krew swą w obronie całości naszych ziem i przez te wszystkie przeżycia związany z wami jest, jak nikt inny na śmierć i życie, wzywam was do zachowania bezwzględnej spokoju.

Pamiętajcie, że od naszego zachowania się, od naszej postawy i naszego charakteru zależy w dużej mierze przyszłość Polski.

Równocześnie stwierdzam, że:

1) Żaden rząd polski nigdy nie wchodził z Niemcami w pertraktacje skierowane przeciwko Rosji Sowieckiej. Natomiast Związek Sowiecki przez swój pakt z Niemcami, zawarty w przededniu obecnej wojny i uderzenie na nas z tyłu w chwili, gdy staliśmy sami w najcięższej walce, uniemożliwił Polsce dalsze stawianie oporu.

2) Polska, która pierwsza podjęła walkę przeciw germańskiemu zaborcy, i która ponosi w tej wojnie największe ofiary, ta Polska, będąca jedynym krajem, który nie wyłonił żadnego odłamu współpracującego z Niemcami — nie zgodzi się nigdy na utratę jakiegokolwiek części swych krwią zbroczonych ziem. Oświadczenie sowieckie jest jednostronne i sprawy w żaden sposób nie przesądza.

3) Bez względu na nasze nieporozumienie z Związkiem Sowieckim, prowadzić będziemy walkę przeciw wspólnemu wrogowi — Niemcom, u boku naszych przyjaciół — Sojuszników, aż do ostatecznego zwycięstwa i całkowitego oswobodzenia Ojczyzny.

Patrzcie w przyszłość z ufnością, wiercie w Opatrzność Boską i sprawiedliwość dziejową. **ŻOŁNIERZE!** Wolna i Niepodległa Polska z Wilnem i Lwowem niech żyje!

Rozkaz ten odczytał przed frontem wszystkich kompanii, baterii i szwadronów.

DOWÓDCA ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

(-) ANDERS WŁADYSŁAW

Generał Dywizji

M. p. 4 marca 1943 r.

Stanowisko Polski

W dniu 5 b. m. Polska Agencja Telegraficzna została upoważniona przez rząd polski do stwierdzenia w odpowiedzi na ostatnią deklarację rosyjską o stosunkach polsko-sowieckich, co następuje:

Traktat ryski z roku 1921 i jego postanowienia graniczne, usankcjonowane w r. 1923 przez Konferencję Ambasadorów i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie były przez Rosjan kwestionowane aż do chwili zawarcia przez Związek Sowiecki z Trzecią Rzeszą układów o podziale ziem polskich, które to układy unieważnione zostały paktem sowiecko-polskim z dnia 30 lipca 1941 r. Powoływanie się na niemiecko-rosyjską linię graniczną z tego roku nie wymaga żadnych komentarzy. Tak zwana linia Curzona była projektowana jedynie w czasie działań wojennych w latach 1919—1920 jako linia rozejmowa, a nie graniczna. Zarządzenie przez sowieckie władze okupacyjne głosowania we wschodniej Polsce w 1939 r. jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. Należy ono do tych aktów podjętych jednostronnie w czasie wojny, których nie uznają państwa alianckie. Nie mogą one być przedmiotem żadnych aktów prawnych, a w szczególności pozbawiać obywateli polskich ich praw do obywatelstwa i zorganizowania na ich rzecz przez rząd polski akcji humanitarnej z pomocą rządów brytyjskiego i amerykańskiego. Wszelkie propozycje niemieckie z przed 1939 r. zmierzające do pozyskania Polski do akcji wojennej przeciw Rosji były stale uchylane przez Polskę, co doprowadziło ostatecznie do niemieckiego napadu na ziemie polskie dnia 1 września 1939 r. Deklaracja rządu polskiego z dnia 25 lutego 1943, za którą stoi jednomyślnie cała Polska, nie miała na celu tak szkodliwej w obecnym momencie polemiki. Stwierdza ona jedynie niezaprzeczalne prawa polskie do ziem, na których naród polski współżył będzie z ukraińskimi i białoruskimi współobywatelami zgodnie z głoszonymi przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej zasadami. Odrzucając zaś kategorycznie absurdalne insynuacje o polskich planach zaborczych na wschodzie, rząd polski ofiarował i ofiarowuje rządowi sowieckiemu swoją gotowość do przyjaznego słożenia stosunków wzajemnych.

STANOWISKO RZĄDU SOWIECKIEGO

W dniu 2 b. m. urzędowa agencja sowiecka Tass podała:

Ogłoszona w dniu 25 lutego b. r. deklaracja rządu polskiego w Londynie w sprawie stosunków sowiecko-polskich świadczy, że rząd polski nie chce uznać historycznych praw narodu ukraińskiego i białoruskiego do zjednoczenia się w swych państwach narodowych. Uważając widocznie nadal za słuszną zaborczą politykę państw imperialistycznych, które dzieliły między siebie odwieczne ziemie Ukraińców i Białorusinów oraz ignorując znany powszechnie fakt dokonanego już zjednoczenia Ukraińców i Białorusinów w łonie swych państw narodowych — rząd polski wypowiada się w ten sposób za podziałem ziem ukraińskiej i białoruskiej, za kontynuowaniem polityki rozczłonkowania narodów ukraińskiego i białoruskiego. Sowieckie kółka kierownicze uważają, że zaprzeczenie narodowi ukraińskiemu i białoruskiemu prawa do zjednoczenia się ze swymi rodakami świadczy o istnieniu tendencji imperialistycznych, a powoływanie się rządu polskiego na Kartę Atlantyczną jest najzupełniej bezpodstawne. Karta Atlantyczna nie daje nikomu prawa do zamachów na prawa narodowe Ukraińców i Białorusinów, lecz przeciwnie, opiera się na zasadach praw narodów, m. in. narodu ukraińskiego i białoruskiego. Nawet znany minister brytyjski, lord Curzon, pomimo swego nieprzyjaznego stosunku do ZSRR rozumiwał, że Polska nie może rościć sobie pretensji do ziem ukraińskich i białoruskich, natomiast polskie kółka rządzące dotychczas nie chcą wykażać zrozumienia w tej sprawie. Twierdzenie polskich kół rządzących, że Polska przed rozpoczęciem obecnej wojny nie godziła się na jakąkolwiek współpracę z Niemcami przeciw Związkowi Sowieckiemu, nie odpowiada rzeczywistości. Cały świat bowiem zna profaszystowską politykę zbliżenia z hitlerowskimi Niemcami, prowadzoną przez rząd polski i jego ministra Becka, usiłujących przeciwstawić Polskę Związkowi Sowieckiemu. Jeżeli wojna obecna czegoś uczy, to przede wszystkim tego, że narody słowiańskie nie powinny odnosić się do siebie wrogo, lecz powinny żyć w przyjaźni, żeby uratować się przed niebezpieczeństwem jarzma niemieckiego.

Polskie kółka rządzące niczego się nie nauczyły, jeśli sięgają po ziemię

(Dalszy ciąg na str. 4)

(Artykuł pt. „NASZA DROGA — PROSTA” oświetlający stosunki polsko-sowieckie w chwili obecnej, zamieszczamy na stronie 4).

GŁOS BRYTYJSKIEGO ROZSĄDKU

Jak zorganizować Europę po odzuceniu zarówno koncepcji zmierzających do jej „gleichszaltowania”, jak i podzielenia jej na strefy wpływu wielkich mocarstw. Jak ująć życie polityczne kontynentu, jeżeli przypomnie się za jego komórkę państwo o typie narodowym, którego suwerenność mogła być ograniczona jedynie w sposób równomierny?

Na terenie Anglii i Ameryki wysuwane są pod tym względem różne pomysły. Nie zamiera myśl, że uda się otworzyć coś w rodzaju Ligi Narodów ograniczonej na razie do Europy, względnie związanej z Ligami Narodów innych części świata we wspólnej Radzie Światowej. Lecz po doświadczeniach z poprzednią Ligą Narodów próby jej odbudowy przyjmowane są raczej z nieufnością, zwłaszcza przy opinii amerykańskiej. Coraz więcej ludzi rozumie, że koncepcja zbiorowego bezpieczeństwa wymagać będzie silniejszego podmurowania, niż to przewidywała instytucja genewska.

Inni politycy Imperium Brytyjskiego, jak marszałek Smuts, wysuwają myśl rozszerzenia zasad Brytyjskiej Wspólnoty Narodów na inne sprzymierzone w tej wojnie narody, które utworzyłyby trwałe związki państw.

Z piwną odmianą tej koncepcji wystąpił swego czasu w książce „One Anglo-American Nation” Jerzy Catlin, który rozwijał ideę jak najściślejszej unii między Imperium Brytyjskim a Stanami Zjednoczonymi. Uzupelnienie tej wielkiej federacji stanowił by związek francusko-brytyjski. Wreszcie do tak wytorowanego zespołu dopuszczono by Holandię i Norwegię. Zdaniem Catlina, powstał by wówczas tak silny blok, że właściwie losy pozostałej części Europy mogły by pozostać dla niego obojętne, co oczywiście jest p-głędem nazbyt uproszczonym i nazbyt optymistycznym jeśli chodzi o Imperium Brytyjskie. Plan Catlina prowadził by zresztą do podziału wpływów w Europie między wielkie mocarstwa, nie u względniacząc ani istnienia odrębnych narodów ani istoty zagadnienia europejskiego.

Pomysłem tym przeciwstawiają się w Anglii ci politycy, którzy dążą do budowy nowej Europy na zasadach realnych, w oparciu o doświadczenia i o założenia tradycyjne. Wybitnym przedstawicielem tego kierunku jest publicysta brytyjski F. A. Voigt. Na łamach miesięcznika „The Nineteenth Century” rozwija on systematycznie swe myśli, które zmierzają do wykazania, że trwały pokój w Europie oparty być może tylko na zasadzie równowagi sił między mocarstwami z koniecznym uwzględnieniem w tym systemie państw mniejszych. Uważa on federację wszech europejską za niemożliwą, zważywszy, że żadna wspólna idea — jak dawniej wspólna wiara — nie wiąże dziś narodów europejskich. Zdaniem Voigta, przed próbami odwetu, czy nowych napaści należy zabezpieczyć się skupieniem w odpowiednie związki narodów przeciwnastopnych.

Myśli swe Voigt rozwinął między innymi w numerze „The Nineteenth Century” z czerwca 1942 r. Stwierdził tam: „Równowaga jest jedyną rękojmią trwałego pokoju gdy nie ma wspólnoty interesów, czy zaprzyjaźnienia... Jedynie Anglia zdolna jest utrzymać równowagę sił, jedynie ona potrafi zapewnić trwały pokój, o ile sama będzie dostatecznie silna.. Ang-

lia należy do Europy, ale nie jest w Europie. a dzięki swemu wyjątkowemu położeniu stać może ponad zarządami europejskimi za wyjątkiem takich wypadków, gdy zatargi te zagrożą ogólnej równowadze”.

Voigt pragnie więc utrzymać w mocy klasyczne zasady W. Brytanii, która zawsze starała się odgrywać rolę rozjemcy w sporach europejskich i usiłowała stać na straży równowagi sił na kontynencie, zwracając się przeciw temu mocarstwu europejskiemu, które dążyło do narzucenia kontynentowi swej hegemonii. Zdaniem Voigta, Anglia przegrywała, gdy odwracała się od tych zasad, utrzymywała swą pozycję, gdy do nich się stosowała.

Główne niebezpieczeństwo Voigt widzi nadal w Niemczech. Jest dlatego gorącym zwolennikiem sojuszu brytyjsko-francuskiego z włączeniem doń na zachodzie Holandii i Belgii. Albowiem „strategiczną granicą Anglii jest Ren”.

Lecz równowaga sił wymaga ponadto uwzględnienia innego „zasadniczego” (essential) postulatu. Musi powstać „związek państw środkowo-europejskich, dość silny, by mógł co najmniej przez pewien czas stawić opór Niemcom. Voigt odnosi się jednak nieufnie do s-tywnych węzłów federacyjnych. Zapatrjuje się zwłaszcza sceptycznie na możliwości ściślej unii polsko czechosłowackiej, tw. erując, że różnice ten peramentów i usposobień nazbyt dzieli Polaków i Czechów. Zbyt ściśle zjednoczenie — pisal — może być również źródłem wojny, a współpraca może okazać się łatwiejsza przy zachowaniu odrębności. Współpraca między Warszawą i Pragą w zakresie polityki zagranicznej wojennej jest natomiast pożądaną. Wyjście z sytuacji widzi Voigt w wytorowaniu szerszego związku państw Europy środkowej, związku, który byłby „luźny na jednym odcinku, zwarty na innym” lecz, którego zasadniczym celem byłaby obrona przed wspólnym wrogiem. Powstała by wtedy, zdaniem Voigta „strefa środkowa” w Europie, obejmująca wszystkie narody między Rosją a Niemcami, od Bałtyku po Morze Egejskie.

Czy Rosja należeć będzie do systemu europejskiego powinno pozostać, według Voigta, kwestią otwartą. Nikt jeszcze nie wie, jakie ewolucje przejdzie Rosja po wojnie. Dotychczas odchorowywała ona każdą wojnę

wewnętrzny wstrząsami. Voigt przypuszcza, że Rosja patrzeć będzie na państwa „strefy środkowej” częściowo jak na „szaniec”, a częściowo jak na bufor przeciw Niemcom. „W wypadku decydującego zwycięstwa rosyjskiego — pisze Voigt — tym państwom buforowym, a zwłaszcza Polsce, będzie groziło popadnięcie w zależność od Rosji”. Voigt wysuwa domniemanie, że być może Rosja będzie chciała zająć z powrotem wschodnie ziemie polskie, przyznać za to Polsce Prusy Wschodnie i w ten sposób przesunąć (shifting) Polskę w kierunku zachodnim po dokonaniu nowych wędrówek ludności.

Jakie natomiast powinno być stanowisko Anglii?

„W interesie W. Brytanii — pisze Voigt — jak i Francji oraz, jeśli chodzi o tę sprawę, również Stanów Zjednoczonych „środkowa strefa” Europy powinna być możliwie najsilniejsza. Jest to zagadnienie istotnie bardzo żywotne. W interesie W. Brytanii, jak i Francji oraz Stanów Zjednoczonych leży, by mocarstwa te utrzymały dobre stosunki z Rosją do końca wojny i dłużej nawet. Interes ich wymaga również, by państwa Europy środkowej pozostały w dobrych stosunkach z Rosją, ale nie wymaga, by którekolwiek z tych państw stało się wasalem Rosji. Jeżeli państwa położone między Rosją a Niemcami będą mogły rozwinąć swą siłę, zabezpieczą one Rosję przed nowym uderzeniem Niemiec”.

Uznając usługi, które Rosja oddała W. Brytanii, Voigt zauważa, że uczucie wdzięczności nie powinno „prowadzić Anglii do czynienia zbędnych ustępstw wobec swych sprzymierzeńców bez względu na to, czy to będą Stany Zjednoczone, czy Rosja so wiewka”. Zbędne ustępstwa dotyczyłyby losów państw mniejszych W przeciwnieństwie do poglądów rozwijanych w „The New Statesman and Nation” Voigt jest zwolennikiem państw mniejszych.

„Interes Anglii — pisze — wymaga utrzymania mniejszych państw w Europie nie tylko ze względów idealistycznych, ale dlatego, że każdy mniejszy naród w Europie jest potencjalnym sojusznikiem Anglii i może odegrać swą rolę w utrzymaniu równowagi sił na kontynencie. By utrzymać tę równowagę konieczny jest stały wysiłek w kierunku przeprowadzania zmian w układzie sił między-

narodowych, do czego wielkie mocarstwa nie są zbyt zdolne... Kontynent europejski złożony całkowicie z mniejszych państw byłby bardziej pokojowo nastrojony niż Europa wczorajsza i dzisiejsza... Jest rzeczą szczególnie ważną, wywoził dalej Voigt, by W. Brytanii nie czyniła we wschodniej Europie ustępstw, które nie są konieczne dla uzyskania zwycięstwa nad Niemcami. Od osi się to również do trzech państw bałtyckich: Estonii, Łotwy i Litwy... A jaki będzie na przykład, zapytuje dalej Voigt, ścisły statut polski oraz jak ułożą się jej stosunki z W. Brytanią i Francją? Powie ktoś, że Polska nie jest małym krajem. To prawda ale jej bezpieczeństwo, podobnie jak bezpieczeństwo Anglii, zależy od zachowania niezależności niektórych państw mniejszych. By Polska mogła utrzymać niepodległość musi być silna, gdyż ma do odegrania znaczną rolę w utrzymaniu równowagi sił. Rzut oka na mapę wskazuje, iż jest rzeczą żwotną dla bezpieczeństwa Polski, by Litwa nie popadła ani pod panowanie Niemiec, ani Rosji”.

Statut trzech państw bałtyckich — wywodzi dalej Voigt — winien oprzeć się również na zasadzie równowagi sił z wyłączeniem wszelkiej hegemonii na Bałtyku. Nad równowagą tą winna czuwać Anglia, która musi mieć za bezpieczony trwały dostęp dla swej floty na wody Bałtyku.

Na zakończenie Voigt raz jeszcze podkreśla postulat utrzymania dobrych stosunków z Rosją zarówno przez W. Brytanię, jak i państwa środkowej strefy, które nawet powinny być związane z Moskwą pewnego rodzaju „pół-przymierzem”. Warunkiem jednak tych dobrych stosunków jest pełna udziałność państw środkowej Europy, każdą bowiem ich krzywdę usiłowałyby natychmiast wykorzystać Niemcy, wysuwając się na ich niepowołanego protektora.

Z londyńskiego „Dziennika Polskiego” z 23 listopada ub. roku dowiadujemy się, że w listopadowym numerze „The Nineteenth Century” Voigt rozwijał dalej swe tezy. Propozował mianowicie podział Europy środkowej na trzy obszary. Obszar północny obejmowałby Polskę i państwa bałtyckie, przy czym Polska objęłaby tam rolę kierowniczą. Granice Polski uległyby wzmocnieniu pod względem strategicznym, a jej granice morskie zostałyby rozszerzone. W obszarze środkowym znalazłby się: Austria i Węgry z Czechosłowacją jako państwem kierowniczym. Obszar południowy składałby się z Rumunii i Bułgarii z Jugosławią jako krajem kierującym. Grecja zachowałaby pozycję odrębną, posiadając stały sojuz z W. Brytanią. Połączony obszar uległby całkowitemu złamaniu, jej wschodnie obszary przypadłyby Polsce.

„Dziennik Polski”, podając wywody Voigta do wiadomości, wyraził jedynie zastrzeżenia wobec sceptycyzmu pisarza brytyjskiego osazanego w odniesieniu do federacji polsko-czechosłowackiej oraz wskazywał na nie uwzględnienie w jego planie roli państw skandynawskich i Finlandii. Wypowiedzi Voigta stanowią wszakże cenny wkład do prac nad planami Europy powojennej. Wiązą one trzeźwość sądu i realizm polityczny z poczuciem sprawiedliwości, a przez to w ujarzmionej dziś Europie spotkać się muszą z oddźwiękiem wyjątkowo silnym.

SALUS REIPUBLICAE SUPREMA LEX

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Hardo i śmiało wyznawając swoją wiarę polską, że sprawiedliwość w walce z niesprawiedliwością zwyciężyć musi, hartujcie swoją wolę i przygotujcie swoje siły, ażeby w tej walce z pożytkiem uczestniczyć. U szczytów, osiągniętych przy myśli polską, odwróćcie się z pogardą od brudów i kłamstw, bluźnierstw i beczczeństw, zalewających cały świat. A bądźcie pewni, że w swoich usiłowaniach nie będziecie opuszczeni; kolumny duchów stoją z wami, duchy wszystkich przodków bohaterskich, duchy wszystkich wieszczów natłoczonych spieszą ku wam i ofiarują swoją pomoc i współdziałanie. Każdy z was pojedynczo jest bezsilny i rozpaczka, ale zwiąźcie się jednym łańcuchem, ramię do ramienia, a cały naród pójdzie za wami!

St. Szczepanowski

Arp.

HEJNAŁ MARIACKI nad Nazaretem

Przybyli z Rosji Junacy, choć mali wzrostem, stali się w Palestynie szczególnie wielką atrakcją. Legitymacja to nie było jaka w kraju wielce zblazowany i otrząskany z różnojęzyczną falą uchodźców europejskich i z różnokolorową masą żołnierzy całego świata. Dzisiaj atrakcyjność Junaków polskich zmalała, zastąpiona czymś znacznie bliższym: serdecznością i sympatią powszechną. Miarą tej sympatii są nie tylko częste wizyty różnych osobistości, ale także ufać im na każdym kroku. Szczególnie zainteresowanie okazują Anglicy. W urzędach wystarczy powiódź „for the young soldiers”, a nawet święty Biurokracy przywdziewa siedmiomilowe buty i sprawa zostaje natychmiast załatwiona.

Typ Junaka pozostał na pewno twym wspomnieniem na Średnim Wschodzie: te przepaściste szorty, pas dwa razy okręcony, ta mina jak sto diabłów, ten mały żołnierz. Tak, żołnierz, całą gębą! Ale przypatrzmy się bliżej, zajrzyjmy pod hełm, zapytajmy o rodziców, o matkę, a ujrzemy... dziecko: zobaczymy łzy żalu po matce zmarłej gdzieś w tajgach, odczujemy tęsknoty i pragnienia dziecka polskiego. I nie tylko to. Bo jeszcze — doświadczenia ciężkie z tej wojny „bez łitości, bez pieśni”, która część dziatwy wytraciła, a resztę wychowała okrutnie twardo i może nawet — dobrze.

Dziwna jest w tych chłopcach mieszanina żołnierza i dziecka. Dyscyplina wojskowa przyrosła do Junaków razem z mundurem i życiem przeważnie obozowym. W mundurze dobrze się czują. Za nic by nie zdjęli tego munduru, który ich uratował, a w którym powrócić chcą do Polski.

KSIAŻKA, TO POLSKA!

Chłopcy bardzo prędko powrócili do równowagi fizycznej, wyglądają już doskonale. Jeszcze tylko nie wszystkie buzie tak dziś pyzate odzyskały swobodny uśmiech, wszakże tyle jest sierot (około 30%) i tylu rozłączonych z rodzicami, rozproszonymi po świecie. Wspólny jest ich los, przedtem żył, teraz szczęśliwy. Za nimi pozostały już fatalna tułaczka, ciężka praca, brak jedzenia i... uśmiechu. Przed nimi przyszłość na pewno lepsza. Czują to dobrze, to też owo „wczoraj” coraz mniejsze rzuca cienie na słoneczne już „dzisiaj”. W tym wieku granica cierpienia prędko się zaciera.

Ogromna większość chłopców pochodzi z ziem wschodnich. Typ dzieci wiejskich, o których dopiero dzisiaj uświadomiamy sobie należycie, jak bardzo są zdolni i mocni nie tylko o fizycznie. 80 pct rodziców było rolnikami, drobny tylko odsetek należał do wolnych zawodów, reszta — robotnicy i rzemieślnicy.

Przeprowadzone wśród Junaków badania psychotechniczne i ankiety przyniosły materiał bardzo ciekawy i dodatni. Początkowo chłopcy żyli ciągle pod męczącym wpływem wspomnień, jednak normalne i pracowite życie po kilku miesiącach dało znaczną poprawę. Szczere odpowiedzi w niepodpisanych ankietach wykazały głębokie przemiany w psychice młodzieży. Chłopcy przyznali się do

nabrania wielu — jak sami określają — „złych” skłonności, ale równocześnie stwierdzają w prostych słowach, że „dopiero teraz” zrozumieli wartość pracy fizycznej, znaczenie rodziny i domu, wolnej Ojczyzny. „Nauczylem się — czytamy w licznych odpowiedziach — zaradności i wytrzymałości na niewygody”.

Nie podobna bez wzruszenia czytać tych odpowiedzi, nacechowanych nie spotykanym w tak młodym wieku realizmem, a zarazem dojrzałą miłością Ojczyzny. O książce polskiej wszyscy piszą zgodnie — była dla mnie wspomnieniem szkoły naszej!... „dzięki książce nie zapomniałem po polsku”... „Była dla nas świętością i nauką”... „Była Polska”!

Tej książki domagają się i teraz. Podczas wizytacji gen. Tokarzewskiego zgłoszono tylko dwa „zażalenia”: „zupa przypalona”, z czym wyskoczył Junak — rekordzista w repelach oraz powszechny we wszystkich klasach okrzyk „chcemy książek”. Obecnie, dzięki wielkiej zyciowości władz angielskich, drukarnie palestyńskie drukują podręczniki dla szkół junackich.

SZKOŁY

Chłopcy chcą się uczyć. I potwierdzają to czynem — postęпами w nauce. Chcą możliwie najlepiej przydać się Polsce, co — wiercie mi — nie jest frazesem. Przeżycia wojenne wzmocniły i podkreśliły pierwiastek narodowy. Dla tych chłopców Ojczyzna stała się symbolem domu, rodziny, wsi i w ogóle wszystkiego dobra.

Dotychczas zorganizowano siedem szkół junackich, znajdujących się na Bliskim Wschodzie, przeważnie w Palestynie, a skupiających kilka tysięcy chłopców. Są więc dwie szkoły powszechne, trzy mechaniczne zbliżone do typu fabrycznych szkół w Polsce, a szkołę wysoko wykwalifikowaną rzemieślników (rusznikarzy, spawaczy, elektrotechników, blacharzy, formierów itp.), jest dalej szkoła łączności oraz kadecka o typie gimnazjalnym.

Uczycie obozowe pełne jest różnych obrazków, nieraz żołnierskich. Gdzieś w kacie — żeby nikt nie widział — najmniejsze mikrusy bawią się w knie; tuż obok maszeruje kompania kadecka — już z karabinami i nowymi odznakami szkoły. Ciśnie się też bractwo do sklepiku „Imki”, gdzie pewną część swego zółdu lokuje w czekoladzie. Inne wydatki, to własny elegancki mundur, a przede wszystkim... kino: codziennie premiera! Szczególną atrakcją nie tylko dla wybrańców, ale i dla całego obozu jest zawsze jakiś wyjazd, zwłaszcza wyjazd czołwki teatralnej (a jakże), która w Jerozolimie odniosła już wielkie sukcesy. Zespół artystyczny Junaków pobli „dorosła” czołwkę na głowę, w szlachetnej ambicji sięgając do poważnego i wielkiego repertuaru polskiego. W rocznicę powstania listopadowego kadeci wystawili w Jerozolimie, w świetlicy uchodźczej fragmenty z „Nocy listopadowej” i „Legionu” Wypiańskiego.

DEFILADA

Od czasu do czasu w największym ośrodku odbywa się defilada, nie zawsze przygotowana. Kiedyś wpadł

prezydent angielskiej partii konserwatywnej mjr Mitchell, wyjechał — zachwycony nie tylko zaimprovizowaną defiladą kompanii kadeckiej, którą postawiono nagle na nogi, ale także samym nauczaniem. W największej jednak defiladzie zaprezentowali się Junacy gen. Andersowi. Szkoła za szkołą, kompania za kompanią większych i mniejszych Junaków defilowały przed dowódcą Armii Polskiej, zyskując jego gorące uznanie. Na specjalnym przedstawieniu zaśpiewano generałowi pieśni polskie powstałe w Rosji. Gen. Anders w serdecznym przemówieniu wspominał o swym synie również kadecie, który poległ pod Kutnem, i oświadczył, że z Junaków i ich postawy jest bardzo zadowolony, że są oni i pozostaną szczególnym ukochaniem wojska polskiego! „Armia o was nie zapomni i nigdy was nie opuści”.

INDYK NA GŁOWĘ!

Szczególnie ciekawe są wyniki kilkumiesięcznej pracy tych mechanicznych szkół junackich, które ulokowały się w Egipcie. Nie tyle dlatego, że i tutaj śladem Junaków polskich kroczy wielkie powodzenie, nie tyle dlatego, że arystokracja Kairu przeszciga się w zapraszaniu i goszczeniu wycieczek junackich, a królowa — matka dopomina się ciągle, by oddano jej dwóch chłopców polskich na wychowanie, ale przede wszystkim — ze względu na stosunki polsko-angielskie, jakie zawiązały się na terenie.

Junacy przyjęci początkowo dość nieufnie. raczej jako zawada niż pomoc warsztatowa, już pierwsze „starcie” wygrali całkowicie! Podbili nie tylko serca Anglików, swych wykładowców i instruktorów, ale również — i to jest jeszcze ważniejsze — pozyskali ich szacunek dla zdolności, pracowitości polskiej. Po kilku miesiącach mechanicy angielscy, starzy instruktorzy — nie wytrzymali: jesteśmy zdumieni — oświadcza. Teraz dopiero widzimy, jaki jest naród polski, zdolny, pojętny i pracowity.

A nie jest to tylko słowne uznanie. Chłopcy nasi otrzymują cenne nieraz prezenty i nagrody za postępy, za zwycięstwa w zawodach sportowych. Ten i ów podoficer angielski chce koniecznie adoptować naszego Jasia czy Franka, mówiącego już płynnie po angielsku. Na gwiazdkę każdy Junak otrzymał... indyka.

Chłopcy przyjmują również bardzo wdzięcznie angielskie metody wychowawcze. Np. w szkole nie ma sprawdzania błędów, stopnie daje się na podstawie dobrowolnego zgłaszania i — jak twierdzą wykładowcy angielscy — praca tak prowadzona daje bardzo dobre wyniki.

RODZI SIĘ LEGENDA

Niedawno jeździliśmy do Nazaretu zwiedzać grootę św. Józefa, miejsce Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, miasto dzieciństwa Chrystusowego. Dzisiaj jest to miasteczko również w polskiej. Polonizują je Junacy. Najmłodszy i najmniej są już dumą miasteczka i jego szczególną troską.

Jestem w Nazarecie właśnie podczas wizytacji przebywającego w Palestynie min. prof. Kota.

W samo południe u stóp klasztoru, a nad miastem Nazaret stanął czworobok kilkuset Junaków. Z odległych wzgórz, jak smutne cienie wyrastają cyprysy. Na horyzoncie z białosinych chmur wyrwa się czarny stożek góry Tabor. Po prawej szerokie pasmo górzyste, przecięte mugami szos, pod nami wata sinawej chmury, pozostawiającej za sobą strzępiaste obłoczki, jakby dymek z pociągu. A tuż pod urwiskiem klasztoru z groty świętego Józefa i Marii, mieszkanie Rodziny Pańskiej.

I cisza. Długa chwila ciszy. Ostro ją rozrywa dźwięk trąbki... Z wieży klasztornej w dolinę Nazaretu spływa hejnał — hejnał Mariacki, ten sam, co w Krakowie codziennie... I potem znów milczymy, choć serca są pełne. Myślimy o Polsce więcej niż kiedykolwiek — czujemy po polsku. Właśnie tu w Nazarecie, w którym na zawsze już pozostanie pamięć o dzieciach-żołnierzach, pamięć o Polsce.

Rosną znów na świecie nowe legendy polskie. Jest już legenda żołnierska Brygady Karpackiej, z Ziemią Świętą nierozzerwalnie związana. A teraz w Nazarecie zawiązuje się legenda i tradycja tego pokolenia polskiego, które przez trud i cierpienie tu właśnie doszło i stąd do Polski powróci.

Na tej wielkiej, największej z defilad polskich w ośwobodzonym Kraju pomaszczą także Junacy, pomaszczą i — Nazarejczycy...

Tadeusz Pniewski



NASZA DROGA—PROSTA

Układ polsko-sowiecki z 30 lipca 1941 roku, pomimo pewnych zastrzeżeń co do jego treści i sposobu sformułowania niektórych postanowień, przyjęty został przez społeczeństwo w kraju, na emigracji i przez nasze rzesze wygnane w Rosji, z głębokim zadowoleniem.

Dochodził on do skutku w chwili, gdy bieg wydarzeń zmusił narody Polski i Związku Sowieckiego do wspólnej walki z wrogiem zagrażającym wolności obu państw. Oczywiście stało się wówczas, jak szkoldliwy dla obu stron był brak porozumienia między Polską i Związkiem Sowieckim, umożliwiającym Niemcom agresję, której ofiarą padła najprzód Polska, a która zwróciła się później przeciw Rosji.

Dlatego też układ londyński, w pojęciu polityki polskiej, miał nie tylko dać obu stronom możliwość współpracy w ramach koalicji anty-niemieckiej, lecz powinien był także stać się podwaliną przyszłych przyjaznych stosunków między obu tak blisko sąsiadującymi państwami. Stosunków, które byłyby oparte na wzajemnym poszanowaniu integralności terytorialnej i odrębności politycznej każdego z państw.

Najbardziej istotne z postanowień tego układu posiada następujące brzmienie: „Rząd ZSRR uznaje, że traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 r. dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc”.

Traktaty sowiecko-niemieckie, o których mowa powyżej, sankcjonowały rozbiór Polski i oddawały Związkowi Sowieckiemu połowę terytoriów Polski z 15 milionami jej obywateli. Polska traktatów tych nigdy nie uznawała. Z naszego punktu widzenia były to jednostronne decyzje dwu zaborców w niczym nie mogące naruszyć naszych prawnych tytułów. Skoro więc traktaty te również przez Związek Sowiecki zostały uznane za pozbawione ważności, prosta logika kazała by wysunąć wniosek, że w stosunkach polsko-sowieckich powracamy do stanu z przed 1939 r., to jest do sytuacji wytworzonej przez traktat ryski. Na tym też stanowisku stanął rząd polski, czemu zresztą już niejednokrotnie dawał wyraz. Rząd sowiecki poszedł inną drogą. Nie precyzując swych pretensji i nie uzasadniając ich bliżej, utrzymywał jednak, że unieważnienie traktatów sowiecko-niemieckich nie jest równoznaczne z zerzeniem się przez Zwią-

zek Sowiecki terenów, które mu na skutek tych traktatów przypadły w udziale.

Spór istniał więc już w samym założeniu i nie jest zjawiskiem nowym. Dopóki jednak wojna toczyła się daleko, gdzieś w głębi Rosji, a kierunek marszu armii sowieckiej oddalał jej, a nie przybliżał do granic polskich, sprawa pozostawała w cieniu. Dopiero ostatnie wydarzenia na frontach przyniosły z sobą jej zagrożenie. Rząd sowiecki, który po traktacie z lipca 1941 r. umożliwił, przynajmniej formalnie, rządowi polskiemu roztoczenie opieki państwowej i materialnej nad Polakami znajdującymi się w Rosji, za komunikował niedawno, że wszystkich, którzy w listopadzie 1939 r. tj. w momencie tzw. plebiscytu znajdowali się na terenach polskich włączonych do ZSRR, a obecnie przebywają w Rosji Sowieckiej, uważa za swoich obywateli.

Ta decyzja rządu sowieckiego nie tylko, że jest wyrazem jeszcze jednej niekonsekwencji w interpretowaniu zawartych układów, ale stanowi zarazem „novum” prawne, nieznanne dotychczas w praktyce międzynarodowej. Zasadą stosowaną przez wszystkie państwa cywilizowane jest, że w razie zmiany suwerenności państwowej na jakimś terytorium, pozostawia się mieszkańcom tego terytorium prawo wyboru obywatelstwa. Mogą oni wtedy bądź stać się obywatelami państwa, które obejmuje ich terytorium zamieszkania, bądź mogą zachować dawne obywatelstwo i opuścić kraj. Anektując bezceremonialnie, choć dziś raczej teoretycznie, terytoria swego sojusznika — Polski, rząd sowiecki nie uważa za właściwe zastosować wobec obywateli polskich tej prymitywnej reguły sprawiedliwości międzynarodowej i pozbawiając ich bezprawnie obywatelstwa polskiego nie pozwala nawet rządowi polskiemu na przyjęcie im z pomocą w ich ciężkich warunkach życiowych.

W tym stanie rzeczy rząd polski uznał za potrzebne ponownie uzewnętrznić swe poglądy na sprawę granic między Polską a Rosją. Nastąpiło to w oświadczeniach Rady Narodowej z 20.II. br. i w deklaracji rządu z 25.II. br.

Odpowiedzią był komunikat rządowej agencji sowieckiej TASS ogłoszony w dniu 2 bm.

Komunikat sowiecki zaprzecza Polsce prawo do jej ziem wschodnich powołując się m. in. na Kartę Atlantycką oraz na dokonane w międzyczasie zjednoczenie narodów ukraińskiego i białoruskiego w ramach państwa sowieckiego. Ponadto komunikat TASSa oskarża rząd polski, iż przed obecną wojną prowadził proniemiecką politykę usiłując przeciwstawić Polskę Związkowi Sowieckiemu.

Nie będziemy się w tej chwili zajmowali zbijaniem zarzutów w sprawie rzekomo antysowieckiej i profaszyzystowskiej, jak pisze TASS, polityki rządu polskiego przed wrześniem 1939 r. Ograniczamy się do stwierdzenia, że oświadczenie PATa z 5.III. br. odpiera stanowczo podobną insynuację, a ogłoszona przez polskie MSZ w 1940 r. w Paryżu „Biała księga” zawiera dokumenty dostaw-

niecznie udowadniające fałszywość twierdzenia sowieckiego.

Trudno jednak nie wyrazić najwyższego zdziwienia, gdy rząd sowiecki wysuwając urojone pretensje pod adresem przedwojennej polityki polskiej odnośnie jej rzekomej współpracy z Niemcami, staje równocześnie na stanowisku, że ziemie, które mu przypadły bezpośrednio i wyłącznie na skutek współdziałania w niemieckiej agresji na Polskę są prawnym i sprawiedliwym nabytkiem Związku Sowieckiego. W ten sposób rząd sowiecki zajmujący czołowe miejsce w szeregach państw walczących z imperializmem niemieckim pragnie kosztem swych sojuszników zachować dla siebie owoce pierwszych sukcesów tego imperializmu.

Rząd sowiecki twierdzi, że powoływanie się Polski w tej sprawie na Kartę Atlantycką jest zupełnie bezpodstawne. Otóż kwestia zmian terytorialnych ujęta jest w punkcie drugim tej karty. Brzmi: on „Narody sprzymierzone nie życzą sobie być świadkami zmian terytorialnych, które nie byłyby zgodne z swobodnie wyrażoną wolą zainteresowanych narodów”.

gą jednostronnej akcji silniejszego. Czy triumfować mają prawo i moralność, czy gwałt i przemoc?

Wysuwane są rozmaite propozycje rozwiązania spornego problemu. Mówi się o „odszkodowaniu” nas za Lwów i Wilno resztą Śląska. Prusami Wschodnimi, czy zachodnim Pomorzem. Ta propozycja jest oczywiście nie do przyjęcia.

Walkę o wolność, która się rozpoczęła 1 września 1939 r., podjął cały naród, bez względu na tereny swego zamieszkania. Prowadzi ją bez wyłączenia czwarty rok. Walczy, by odzyskać swą ziemię dla siebie, a nie dla kogo innego. Propozycje zamian terytorialnych, bardzo nawet pojętne, słyszyliśmy przed 1939 r. niejednokrotnie. Odrzucaliśmy je z całą stanowczością wówczas i odrzucamy tym bardziej teraz, gdy w obronie naszego stanowiska ponieśliśmy tak wielkie ofiary.

Są tacy, którzy proponują ponowny, tym razem „sprawiedliwy” plebiscyt. Nie mielibyśmy, prawdę mówiąc, wielkiej obawy o jego wynik, szczególnie obecnie, gdy ludność naszych kresów zakosztowała dobrodziejstw obcych reżimów. Ale nie możemy przyjąć samej zasady możliwości kwestionowania przez jednego ze sprzymierzonych stanu posiadania drugiego. Stałoby się to najmniejbezpieczniejszym z precedensów.

Sprzymierzeni stoją przed zagadnieniem, które nabiera charakteru zasadniczego dla ustalenia celu tej największej z wojen, w której cała ludzkość ponosi niebывale ofiary w nadziei, że przyczynią się one do powstania lepszego, sprawiedliwego świata.

I dlatego odpowiedź musi paść szybko i musi być jasna i wyraźna. Wymaga tego dobro sprawy, o którą walczymy wszyscy.

Jedność frontu sprzymierzonych nie może być nawet pozornie naruszona.

Rozdźwięk między Polską a ZSRR znalazł żywe echo w całym świecie. Nic dziwnego, chodzi o stwierdzenie, czy narody walczą rzeczywiście o zrealizowanie pewnych ideałów ogólnych, czy też każdy bije się o swoje własne cele. Czy różnice między narodami rozstrzygane mają być drogą wspólnego porozumienia, czy też dro-

Nasza droga jest prosta. Kroczymy po niej od chwili, gdy pierwsze samoloty wroga ukazały się na polskim niebie i pierwsze bomby padły na nasze miasta. Nie zbroczymy z niej na cal.

Zbigniew Raciński

STANOWISKO RZĄDU SOWIECKIEGO

(Dokończenie ze str. 1)

ukraińskie i białoruskie, przez co krzewią wrogość między narodem polskim a narodami Ukrainy i Białorusi, jako że taka polityka polskich kół rządzących osłabia przede wszystkim samą Polskę i łamie jednolity front narodów słowiańskich w walce z najazdem niemieckim. Deklaracja rządu polskiego świadczy, że obecne polskie kół rządzące nie wyrażają w danej sprawie rzeczywistej opinii narodu polskiego, którego interesy w walce o wyzwolenie swojej ojczyzny i odrodzenie silnej i mocnej Polski są nierozdzielnie związane ze sprawą wszechstronnego wzmocnienia wzajemnego zaufania i przyjaźni z bratnimi narodami Ukrainy i Białorusi, jak również z narodem rosyjskim i innymi narodami ZSRR.

REZOLUCJA RADY NARODOWEJ

LONDYN, 1.III. (PAT).— Rada Narodowa R.P. na posiedzeniu z 20 lutego powzięła jednomyślnie następującą rezolucję:

„Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej po wysłuchaniu sprawozdania z posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych z 18 lutego, na którym złożone zostało expose kierownika MSZ, Raczynskiego, stwierdza:

Rada Narodowa R.P. jednomyślna z Rządem, stojąc nadal na stanowisku, że trudności, istniejące na drodze ufnego współpracy Zjednoczonych Narodów winny być usunięte, oświadcza, że

INTEGRALNOŚĆ OBSZARÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ W JEJ

GRANICACH Z DNIA 1 WRZEŚNIA 1939 ORAZ JEJ SUWERENNOŚĆ SĄ NIENARUSZALNE I NIEPODZIELNE.

Żadne jednostronne akty i bezprawne działania z czejkolwiek strony skierowane bądź przeciw obszarowi i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej, bądź przeciw prawom jej obywateli, przebywających w kraju i poza jego granicami tego stanu rzeczy w niczym zmienić nie mogą.”

* * *

Deklarację rządu polskiego w tej sprawie podaliśmy w poprzednim numerze.

Od Redakcji

Ze względu na trudności techniczne Nr 10 (49) „Orla Białego” wydajemy z tygodniowym opóźnieniem.

RELACJA OBSERWATORA
Z KRAJU NEUTRALNEGO

WARSZAWA SZARRA...

Warunki okupacyjne spowodowały scentralizowanie w Warszawie wszystkich nici życia politycznego, wojskowego, kulturalnego. Jak nigdy dotąd Warszawa stała się Akroplem, sercem, mózgiem, stolicą Polski. Nie wolno jednak zapominać, że na terenie rozciągającym się od Służewca po Wolę i od Saskiej Kępy po Żoliborz, znajdują się różne Warszawy, każda żyjąca w odmiennym klimacie psychicznym, komunikujące się pomiędzy sobą luźnie lub wcale, i relacje aktualne dla jednej są zupełnie niesciśle dla drugiej.

Jedną z nich jest Warszawa bierna. Nawiązując do popularnej przedwojennej powieści radiowej nazwijmy ją Warszawą państwa Kowalskich. Jest ona liczniejsza, wynosi około 70%. Składa się z ludzi, którzy nie biorą czynnego udziału w życiu podziemnym, niemniej postawa ich w stosunku do okupanta jest pełna godności. Stanowi solidne, zyciwe tło dla rozgrywających się zapasów świata niepodległościowego z wrogiem. Interesuje się wszystkim co słychać w świecie podziemnym, lubi udawać dobrze poinformowaną, a że sama nie walczy... Mój Boże, nie każdego na to stać. Jednych wstrzymuje najwyższe tchórzostwo, innych brak temperamentu, przeciwnie rodzina, praca zarobkowa, słabe zdrowie, jeszcze innych instynkt praworządności wzdrygający się przed życiem konspiratora pozbawionego domu, nazwiska, osobowości. Nazywać się codziennie inaczej, sypiać codziennie gdzie indziej, mieć kilka legitymacji, żadnej prawdziwej, nie być nigdzie meldowanym, to nie dla państwa Kowalskich, przyzwyczajonych opierać swój pogląd na świat na dobrze działającej policji.

Nie należąc do świata podziemnego Kowalscy wiedzą o nim, zazdroszczą mu. Im dłużej okupacja trwa, tym bardziej przekonują się, że nie warto być ostrożnym. Powściągliwość nie zabezpiecza. Nie kto inny lecz właśnie Kowalscy dostarczają kontyngentów łapanek ulicznych, giną w wypadkach „odpowiedzialności zbiorowej” całym blokiem, od poddasza do suteryn, dają głowę za bojownika złapanego na drugim piętrze ze stacją nadawczą. Poza tym biedują, głodują, trzecią zimę spędzili w nieopalanym mieszkaniu. To też coraz częściej przechodzą na stronę walczących. Zawsze są solidarni. Pełnią rolę warstwy izolacyjnej, oddzielającej świat niepodległościowy od występujących się Niemcom kanałii. Jeśli na ulicy policja goni kolarza, tworzą samorzutnie tłum, który wrzeszczy: „Łapaj złodzieja”, tłoczy się, cisnie, myli, ukazuje gorączkowo przeciwną stronę niż ta, w którą pobiegł zbieg, oddaje uciekającemu płaszcz, kapelusz, zabiera niebezpieczną paczkę...

Państwo Kowalscy pomimo codziennych trosk, a często i ciężkich zmartwień, aczkolwiek są całkowicie, zdawałoby się, zaabsorbowani zdobywaniem codziennego kawałka chleba, są tym legionem, w masie którego rozgrywa się walka o Warszawę przyszłości.

P. A. T.

Powstają kadry specjalistów

Na jednym z przejściowych m.p. na Wschodzie, w dniu 14 lutego obchodził rocznicę swego powstania Ośrodek Wyszoklenia Technicznego Armii.

Przed rokiem, w miejscowości Sidi Bishr pod Aleksandrią, grupa techników polskich, oficerów, podoficerów i szeregowców przystąpiła do organizowania pierwszych na Wschodzie kursów samochodowych i uzbrojenia pod komendą istniejącej już Grupy Wyszoklenia Służb. Myślą przewodnią organizatorów było dostarczenie naszej Armii największej ilości tak niezbędnych specjalistów: kierowców, mechaników, rusznikarzy, puszkarzy.

Na piaskach Sidi Bishr, w kilku namiotach, rozpoczęto szkolenie przyszłych specjalistów i instruktorów. Początkowo przydzielono za ledwie 6 samochodów „Citroen” do nauki jazdy. Trochę starszego tonu, żelastwa, znalezionych w angielskim „repie” części silników, to wszystko co posiadaliśmy. Gdzieś na pustyni znaleziono starą, porzuconą przez oddziały niemieckie osobówkę „Eifel” — była dosłownie „w prosku”. Nie zrażano się trudnościami. Entuzjazm, ofiarność i przedsiębiorczość dały wyniki.

W pierwszych dniach maja 42 roku z Egiptu wyruszyła na nowe m.p. do Palestyny w składzie 22 samochodów Grupa Wyszoklenia Służb, by jako pierwszy oddział połączyć się z wojskami przybyłymi z Rosji. 180 „nowych kolegów” powiększyło stan uczniów kursów.

Następuje okres wylężonego szkolenia. Kierownicy i instruktorzy

prowadzą szlachetną rywalizację w kierunku szkolenia, zdobywania materiałów, podręczników. Powstają pierwsze modele dzięki pomysłowości i własnym kosztem kadry. Piękne techniczne rysunki wykonane przez kadrę zdobią sale wykładowe. W lipcu i sierpniu ub. r. na kursach uczy się około 100 oficerów i 1000 podoficerów i szeregowców. Kursy szkolą: kierowców, pomocników mechaników, mechaników, elektrotechników, instruktorów samochodowych, kurs zaopatrzenia i transportów oraz kursy uzbrojenia.

We wrześniu następuje połączenie wojsk polskich w jedną Armię na Wschodzie. Na nowe m.p. rusza kolumna Grupy Wyszoklenia Służb w składzie 72 samochodów. Po uzupełnieniu Grupa otrzymała nazwę „Ośrodek Wyszoklenia Technicznego”.

Na nowym m.p. praca nadal wrę. Powstają nowe kadry specjalistów. Pomiedzy namiotami długi szereg samochodów do nauki jazdy, w warsztatach „rep” pod kierunkiem instruktorów uczniowie przeprowadzają naprawę uszkodzonych wozów. Trzy samochody-warsztaty, doskonale wyposażone w tokarnie, szlifarki itp. urządzenia pozwalają przeprowadzać wszelkie roboty we własnym zakresie.

Na rocznicę powstania ośrodka otworzono dwie modelarnie w specjalnie wybudowanych barakach. Z dumą możemy powiedzieć, iż są to najlepiej urządzone i wyposażone modelarnie na Wschodzie. Znajdujące się tam modele silników i części samochodowych są dziełem gos-

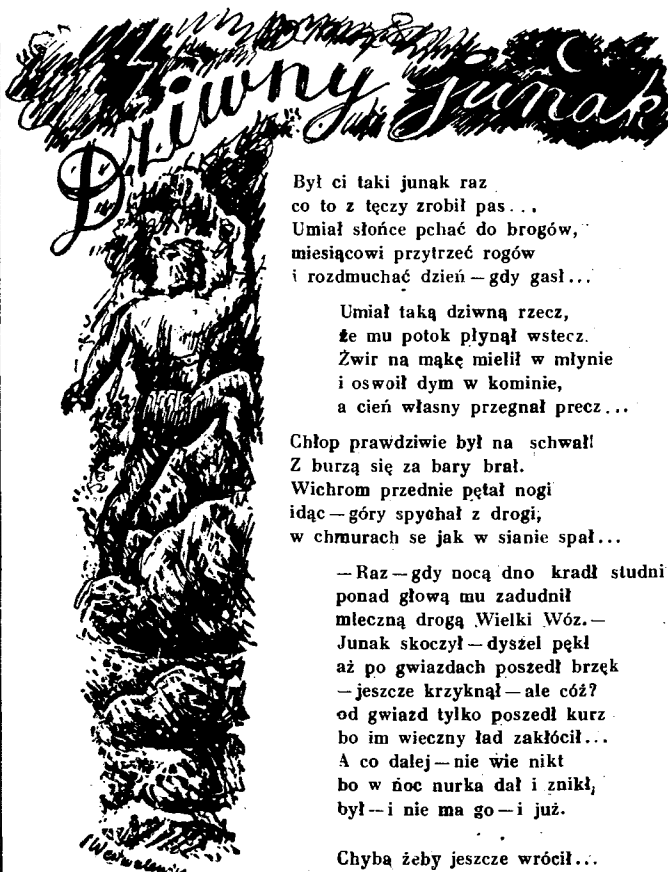
podarza modelarni podchorążego Z. i strzelca P.

Dla organizatorów ośrodka dzień 14 lutego był prawdziwą uroczystością. Po mszy św. do zebranych oddziałów przemówił komendant i założyciel Ośrodka ppłk. P-ski. W krótkim przemówieniu odtworzył on historię Ośrodka. Około 3000 wyszkolonych specjalistów — oto bilans rocznej pracy. Kończąc komendant podziękował za wyjądną pracę kierownikom i instruktorom kursów. Następnie przemawiał dca dywizji, do której przydzielono Ośrodek. Po defiladzie zwiedzano warsztaty i modelarnie. Pokazano nam „pupila” Ośrodka, znalezione przed rokiem na pustyni starego „Eifla”. Kierownik warsztatów oświadczył nam z dumą, że wóz ten wbrew przewidywaniom znajduje się obecnie „na chodzie”. Po żołnierskim obiedzie, na zakończenie uroczystości odbył się występ czołwki teatralnej.

Na ręce gen. Andersa złożono sumę 167 din. jako dar Ośrodka dla dzieci polskich przybyłych z ZSRR.

K.C.

**PAMIĘTAJ
— O —
DZIECIACH
POLSKICH
W Z.S.R.R.**



Był ci taki junak raz
co to z tęczy zrobił pas...
Umiał słońce pchać do brogów,
miesiącowi przytrzcę rogów
i rozdmuchać dzień — gdy gasł...

Umiał taką dziwną rzecz,
że mu potok płynął wstecz.
Zwir na makę miał i młynie
i oswoił dym w kominie,
a cień własny przegnał precz...

Chłop prawdziwie był na schwał
Z burzą się za bary brał.
Wichrom przednie pętał nogi
idąc — góry sypchał z drogi,
w chmurach se jak w sianie spał...

— Raz — gdy nocą dno kradł studni
ponad głowę mu zadudnił
mleczną drogą Wielki Wóz. —
Junak skoczył — dyszel pęł
aż po gwiazdach poszedł brzęk
— jeszcze krzyknął — ale cóż?
od gwiazd tylko poszedł kurz
bo im wieczny ład zakłócił...
A co dalej — nie wie nikt
bo w noc nurka dał i znikł,
był — i nie ma go — i już.

Chyba żeby jeszcze wrócił...

Beata Obertyńska

L A S

(Beacie Obertyńskiej)

Padają lata niczym pnie
Strącane w mech stuleci —
Ileż drzew liczy życie twe,
Ze tak w nim słońce świeci?

Ile poświęcasz młodych brzoź,
Panięskich olch i sosen,
By ci pomiędzy drzewa niósł
Słoneczny blask swą strofę?

Więc nie wiesz nawet, że ci tną
Najmłodsze z drzewostanach! —
Tak ci południe ciepła gra
Na leśnych gra organach?

Tak ci objęła wierszy dłoń,
Ze nie nie widzisz, ślepa! —
Jak dzień — calując zmierzchu
skroń

Srebrzysta nie nawleka?

Tak ci upoił dziwny sens,
Który nad tobą rośnie,
Ze się oddajesz w zguby więz
Straceńczo i bezgłośność?

I tak ci urzekł trudny szept
Drgających warg muzyka,
Żehyś wydarła serca skrzep
Na kamień dla pomnika?

I tak przelotne kochasz dzień,
A wiersz — jak dzień przelocie,
Ze kiedyś starczą wiersze te
Za męża, dom i dzieci?

I choć wiersz każdy będzie wart
Roślakę i nieszczyć —
Wśród zapisanych zdradą kart
Zakochasz się w ich chrzęście?

I pojmieś w wlede, że ten duch,
Ten wiatr, co gędbę niesie,
Szumi w koronach, kiedy z dwóch
Drzew jedno pada w lesie?

Zdzisław Broncel

CZARNY SEP PRZYNOŚI SZCZĘŚCIE...

... Jechaliśmy prawie godzinę. Po lewej i prawej stronie szerokiego traktu, wiodącego z Bagdadu, jak okiem sięgnąć — namioty... W pewnej chwili szofer skręcił w bok i — namioty znikły. Jechaliśmy jeszcze jakiś czas zwykłym pustynnym szlakiem. Dookoła nas rozpostarła się piaszczysta równina. Ani żywej duszy!... Zupełnie niespodziewanie wyłonił się nagle z poza wzgórza wielki budynek... Przybyliśmy do m. p. rzeźni polowej.

Przywitał nas bardzo uprzejmie kierownik placówki mjr dr F., po czym na moją prośbę oprowadził mnie po doskonale rozplanowanych urządzeniach rzeźni zajmujących z jej organizacją i techniką pracy.

...Rzeźnia powstała w pierwszych dniach września ubiegłego roku. Ołbrzymi budynek i urządzenia wybudowali Anglicy. Placówka zaopatrza w mięso całą armię polską oraz stacjonujące tu oddziały angielskie i hinduskie.

Zwiedzamy małe laboratorium bakteriologiczne, w którym podejrzane sztuki poddaje się ściślejszemu badaniu.

— Nadzór lekarsko-weterynaryjny — mówi major — sprawują w rzeźni wyłącznie polscy lekarze weterynaryj. Są to ludzie młodzi, specjaliści rzeźniani. Ich praca jest bardzo ciężka — ilość zwierząt przypadająca u nas do badania na jednego lekarza jest trzykrotnie większa niż w Polsce, a warunki pracy bez porównania gorsze.

Wchodzimy z kolei do budynku, gdzie dokonuje się uboju.

— Nasi pracownicy — mówi dr F. — biją wszelkie rekordy.

— A czy praca rzeźnika jest ciężka? — pytam.

— Niezwykle ciężka. Uboj trwa 8 godzin dziennie bez względu na niedzielę i święta. W dodatku pracuje się w krwi i oparach, unoszących się z trzewi i treści pokarmowej.

Wychodzimy z hali uboju na powietrze. Teraz, gdy człowiek wchłania w siebie świeże powietrze, rozumie, jak ciężka jest praca tych ludzi.

— Czy chciałby pan zrobić ze mną małą wycieczkę samochodową? — proponuje major. — Pokażę panu miejsce „asenizacji naturalnej”.

— Bardzo chętnie — mówię. Co to jest asenizacja, wiem — ale „asenizacja naturalna”?... Ale nie należy się kompromitować! Powtarzam więc raz jeszcze i to dobitnie!

— Bardzo chętnie — i po chwili jedziemy już samochodem w pustynię

— Pracę na rzeźni — opowiada po drodze major — cechuje wielki rozmach. Nic dziwnego, gdyż ubija się tu codziennie wielką ilość zwierząt.

— A skąd sprowadza się bydło?

— Z Iraku i Iranu. O, widzi pan te olbrzymie baraki — ciągną się one na przestrzeni 2 kilometrów. To są stajnie spędowe, gdzie przetrzymuje się zwierzęta do chwili uboju.

Spostrzegam nagle przed sobą grupę Kurdów. Widać jakieś zamieszanie, niektórzy staczą się ze sobą prawdziwie walki.

— Dlaczego oni się biją?

— Zaraz pan zrozumie. Samochód zatrzymuje się.

— Oto jest pierwsze stadium „asenizacji naturalnej” — mówi major — tu wyrzuca się wszelkie odpadki, pozostałe z uboju. Kurdowie rzucają się na to, jak rekiny i zabierają wszystko, co ma jakkolwiek wartość odżywczą. Ale widzą, że pan

nie spostrzegł jeszcze najciekawszego zjawiska, niech pan popatrzy w prawo.

Obracam głowę w prawo i widzę nagle nie spotykany dotąd obraz: Oto o kilkaset metrów dalej rozsiadły się tysiące gołoszych sępów, których rozpiętość skrzydeł sięga ponad trzy metry, i szczerzą się na zer. Po pewnym czasie Kurdowie odchodzą i oto wielka chmara ptaków rzuca się na padlinę. Wśród sępów kręca się psy, staczając niezłą z ptakami prawdziwe walki. Oto piękny, czarny sęp, różniący się kolorem swego upierzenia od innych ptaków, wpija się wielkim dziobem w grzbiet psa. Zwierzę pada brocząc krwią, a ptak — zwycięzca porzywa padlinę.

— Piękne zjawisko, prawda? — mówi major — czarny sęp jest rzadkim okazem. To wszystko, co pan

widzi jest drugim stadium „asenizacji naturalnej”. Około godzinny piątej sępy odlatują na nocleg. Przychodzą wtedy szakale, by z kolei przystąpić do uczy. Z chwilą zapadnięcia mroku do szakali dołączają się lisy pustynne. Wreszcie w nocy wkraczą hieny, by dokończyć reszty. Tak więc, jak pan widzi — jeszcze jeden przykład idealnego podziału pracy. Tym razem u zwierząt...

Siadamy do samochodu i wracamy do rzeźni. Zapytuję majora, jak uprzyjemniają sobie żołnierze czas po pracy. Czy nie przedstawia to trudności ze względu na oddalenie placówki od innych oddziałów.

— Właśnie — mówi major — odczuwamy bardzo brak kontaktu z innymi jednostkami.

Nie mając odpowiednich środków lokomocji nie możemy wyjechać na przedstawienia, koncerty czy ogniska. Odczuwa się brak radia,

biblioteki i innych rozrywek kulturalnych.

— O ile mi wiadomo — mówię — w poniedziałek przyjeżdża czołówka teatralna z przedstawieniem.

— Bardzo się moi panownicy ucieszą, gdy im powiem o tej miłej niespodziance. Przyjeżdżamy na miejsce. Dziękuję serdecznie majorowi.

— Muszę panu zdradzić jedną tajemnicę — mówi żegnając się — spotkać pana winno jeszcze dzisiaj wielkie szczęście. Zobaczył pan na wycieczce czarnego sępa. Tubylcy wierzą, że czarny sęp jeszcze tego samego dnia, gdy się go zobaczy, przynosi miłe niespodzianki...

W drodze powrotnej żandarm zatrzymał nasz samochód w celu sprawdzenia przepustek. Przepustkę miałem, ale żandarm zrobił protokół. Nie za przepustkę — za kratki...

Ludwik Brzeski

CZOŁÓWKA PODRÓŻUJE...

ZWYCIĘSTWO POLSKIEJ PIOSENKI

Kiedy pociąg zatrzymał się na mousulskim dworcu, brać artystyczna wysypała się z wagonów, pokrywając cały peron stosem waliz, instrumentów i tobołów, co wywołało widoczną radość w oczach zmarzniętych i obdrapanych kulisów. Panie śmieje i wypoczęte, panowie zarośnięci i bladej na skutek calonocnego spania „w kucki” — ale wszyscy uśmiechnięci i pełni radości życia.

Dziwna rzecz — przyjechaliśmy do Mosulu po raz drugi, a odnieśliśmy wrażenie, że jesteśmy na „starych śmieciach”, gdzie nie spotyka się nic obcego, nic nowego, gdzie widzi się tylko miłe, uśmiechnięte twarze a każdy dom i każda ulica są tak dobrane znane, jak gdyby człowiek spędził tu poprzednio co najmniej kilka miesięcy!

To samo uczucie ogarnia nas w Domu Żołnierza, gdzie jednak na każdym kroku spotykamy jakąś miłą inowację, jakąś nową niespodziankę. Tu ping-pongowy stół, tam czystelnia zawalona stosem pism i przyrodobiona pięknymi wycinankami i akwarelami. Jakoś tu teraz schłodniej i przyjemniej niż przed miesiącem. Tajemnicza szybkość wyjaśnienia, gdy spostrzegamy krzającą się po całym gmachu panie — świetliczarki, które potrafiły skądinąd ponury domek, przerobić na jasny i słoneczny „przystanek” dla żołnierzy.

Wdrapujemy się z tobołami na drugie piętro, do pokojów, które zajmowaliśmy podczas naszego pierwszego pobytu i nagle okrzyk podziwu wyrwa się z naszych piersi. Wszędzie są łóżka!

Podczas obiadu kierownik Czołówek zasypywany jest gradem pytań:

— Gdzie gramy?

— Kiedy gramy?

— Czy znowu w Rafie?

Okazuje się, że tym razem gramy w kinie, gdzie zbudowano specjalnie scenę.

Pędzimy do kina. Scena jest nie gotowa, ale do jutra wszystko będzie zrobione na czas. Kto i jak może, pomaga w urządzeniu garderób i usunięciu z za sceny kurzu, którego warstwa, bez przesady, dochodzi do 10 centymetrów.

Bractwo zaczyna uganiać się za piecykami. Lawiński gon, Ref-Ren gon, wszyscy gonią, słowem — konia z rądem temu, kto znajdzie piecyki!

Po godzinnych poszukiwaniach znalazły się dwa naftowe piecyki. Wprawdzie po rozpaleniu ich okazuje się, że wcale nie jest ciepłej, ale piecyki są, więc przedstawienie może się odbyć.

Po krótkiej próbie wracamy do domu, gdzie czekają na nas hiobowe wieści.

— Neyowa ma bardzo poważną anginę!

— Bogdańska leży w gorączce! 39 z kreskami!

Pryśnął pogodny nastrój, wszyscy chodzą z nosami na kwintę i tylko jedno pytanie cisnie się wszystkim na usta:

— Co będzie z jutrzejszym przedstawieniem? Odpadają prawie wszystkie tańce!

Naprawdę organizujemy próbę, za stanawimy się nad zastępstwem, wreszcie postanawiamy program o przeć na prozie i piosenkach. Wstawiamy do programu skecze, przerażamy kilka numerów i dochodzimy do wniosku, że program powinien być zupełnie dobry.

Przyjcie, jakie zgotowali nam żołnierze, wruszyło nas do głębi. Po brzeży wypełniona widownia reagowała tak szczerze i serdecznie na każdy dowcip, na każdą piosenkę, że zapomniałmy o ziemie, o kurzu i o ciasnocie za kulisami, która do szalu doprowadzała Lawińskiego, jako, że tuszę ma odpowiedziałną.

Opuszczaliśmy zimny i deszczowy Mosul, rozgrzani nadmiarem, może nawet czasem niezasłużenie, serdecznych i ciepłych słów, mając jedyny żal do pogody, która nie pozwoliła nam na urządzenie przedstawienia w K.

Droga z Mosulu do Habanii ograniczyła się do jednej nieprzebrananej nocy w ciasnym wagonie i do jazdy przez pustynię w ciężarówkach bez ławek, na pół leżąc, na pół siedząc na własnych łtunkach.

To, co zobaczyliśmy w Habanii, dosłownie zatkało nas. Nawet panie, które z natury lubią i umieją dużo mówić, nie mogły z wrażenia wypowiedzieć jednego słowa.

Eldorado!!!

Luksusowe mieszkania z tuszami i łazienkami, doskonałe utrzymanie i cudowna sala teatralna złożyły się na to, że w zespole zapanował nastrój, jak to się mówi: sielsko-anielski!

Przedstawienia przechodziły w atmosferze dotychczas nie spotykanej. Nie będę ich opisywał ze szczegółami, proszę sobie jedynie wyobrazić, że 4000 osób gwizdzą jednocześnie! Po każdym numerze i na każdym przedstawieniu! Dziwna rzecz, ale w Habanii nawet Polacy nauczyli się gwizdać i to wcale nie gorzej od Anglików.

Jazda z Habanii do Bassry trwała długo i nie różniła się niczym od poprzednich.

Wyładowaliśmy na małej stacji „Sheiba”, skąd samochodami przewieziono nas na czasowe miejsce postojowe. Panie ulokowano w szpitalu, mniej więcej 6 mil od teatru a „pieć brzydką” jeszcze dalej, poza obozem głównym, w tak zwanym obozie przejściowym. Bez przesady mieliśmy pół pustyni do dyspozycji! Przypuszczam, do tego dodano nam cztery puste namioty, jakby to powiedzieć „au naturel”, to znaczy, że poza ścianami, wejściami, kolkami i sznurami nic w nich nie było. Lampy otrzyaliśmy jednak pierwszego dnia, i żaki drugiego, trzeciego dnia dostaliśmy maty, piątego koce, a na szósty dzień spadł deszcz, który zalał nam i leżaki, i maty, i koce! Przy tej okazji piekielny wiatr powyrwał kolki z namiotów tak, że w końcu znaleźliśmy się prawie, że na świeżym powietrzu. Najlepiej na tym wszystkim wyszedł Ruszała, który korzystając z braku tuszy i tak zwanej „drobnej kości”, przespał się kilkakrotnie w drewnianym futerale na kontrabas.

Do teatru przerobionego z hangaru, zresztą luksusowo urządzonego, przewieziono nas codzień samochodami, co trwało przeciętnie półtorej godziny, gdyż żaden z tamtejszych szoferów Hindusów nie mógł trafić na lotnisko i z zasady kręcił się w kółko po pustyni, aż dzięki jedynie przypadkowi natrafiał wreszcie na szosę wiodącą do teatru.

I znowu każdy polski taniec i każda polska piosenka były przyjmowane przez tysiące Anglików gwizdem i wyciem! I znowu za kulisami ujrzeliśmy dziesiątki i setki angielskich żołnierzy i oficerów, którzy gratulowali nam, dziękowali, wypytawali o Polskę, o polski teatr i polskie miasta!

F. Konarski (Ref-Ren)



ROZDZWIĘKI POLSKO-SOWIECKIE

Spor o granice między Polską a ZSRR stanowi przedmiot najwyższego zainteresowania nie tylko dla nas i Związku Sowieckiego, lecz zajmuje się nim także opinia publiczna Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Poświęca jej też wiele uwagi propaganda niemiecka. Prasa sprzymierzona podkreśla konieczność szybkiego uregulowania tej sprawy, która w razie przedłużania się mogłaby przeobrazić się w rysę na jednolitym froncie narodów sprzymierzonych.

Wielki brytyjski tygodnik liberalny „The Economist” pisze: „Liberale są słusznie zaniepokojeni decyzją sowiecką traktowania jako obywateli sowieckich przycbywających w Rosji wszystkich Polaków, którzy przybyli tam z ziemi, jakie przypadły Sowietom w układzie niemiecko-rosyjskim z 1939 r. Jeżeli ten krok oznacza, że Rosjanie zamierzają po prostu zaanektować obszary, które uważają za część Związku Sowieckiego, bez próby porozumienia się z rządem polskim lub innymi aliantami, wówczas robota Goebbelsa jest odrobiona za niego”. I dalej: „Stanowisko Rosji wobec całego zagadnienia granic musi zostać wyjaśnione teraz, gdy pochód czerwonej armii zwraca pełną niepokoją uwagę Europy ku temu zagadnieniu”.

Prasa i radio niemieckie wykorzystują posunięcie rządu sowieckiego, aby straszyć mniejsze narody widmem całkowitej utraty niepodległości na wypadek zwycięstwa sowieckiego.

Włosi twierdzą, że rząd sowiecki dlatego spowodował obecne zaognienie sprawy granic polsko-sowieckich, aby wybadać jak daleko inni sprzymierzeni są gotowi angażować się w obronę stanu rzeczy istniejącego przed 1939 r.

FRONT ROSYJSKO-NIEMIECKI

Na południowym odcinku frontu postępy wojsk sowieckich zostały na razie zahamowane. W rejonie Charkowa udało się nawet Niemcom przejąć inicjatywę. Najbliższe dni pokażą, czy chodzi tu tylko o lokalne uderzenie, czy też są to operacje o większym zakresie.

Natomiast Rosjanie rozpoczęli nową ofensywę na całej długości frontu centralnego, rozciągającego się na przestrzeni od jeziora Ilmen na północy do Orła na południu. Wojska sowieckie zdobyły tu kolejne wysunięte punkty oporu niemieckiego: Demiańsk, Rzew i Gżac, a ostatecznie zajęły miejscowość Siczewska.

Celem tej ofensywy rosyjskiej jest likwidacja najbliższemu Moskiewie wysuniętego odcinka frontu niemieckiego: Rzew-Wiaźma-Orzeł. Zajawszy Rzew, Rosjanie próbują otoczyć tam armię niemiecką broniącą się na linii Wiaźma - Orzeł. Podczas gdy na północ uderzenie sowieckie skierowane jest na odcinek Wiaźma-Smoleńsk, armia gen. Golikowa, stanowiąca drugie ramię szczypic, pragnie wbić klin w linię niemiecką między Briańskiem a Orłem. Niemcy twierdzą, że odwrót ich jest tzw. „odwrotem strategicznym” i ma na

celu skrócenie frontu. Przekrzyli tymu twierdzeniu zajęty opór, jaki stawiali w Demiańsku i Gżacku. Z drugiej strony w komunikatach sowieckich brak informacji dotyczących jeńców lub zdobytego sprzętu wojennego, co wskazywałoby na to, że armia niemiecka wycofuje się we względny porządku.

WOJNA W AFRYCE

W Tunisie oczekiwano lada chwila rozpoczęcia przez armię gen. Montgomery'ego natarcia na linię Marethi. Komunikaty mówiły już o podjęciu przez Brytyjczyków przygotowanego ognia artyleryjskiego. Tymczasem ofensywę rozpoczął Rommel. Ataki niemieckie zostały przez VIII armię odparte. Tym niemniej prasa brytyjska ostrzega przed przedwczesnym wyciągnięciem z tego faktu definitywnych wniosków. „Oś” dysponuje w Tunisie znacznymi siłami, które są stale wzmacniane. W Berlinie zdają sobie sprawę z tego, że inwazja sprzymierzonych na Europę nastąpić może najłatwiej od Morza Śródziemnego. Dopóki Niemcy trzymają Tunis, mało jest prawdopodobieństwa, aby sprzymierzeni ryzykowali z Afryki jakas akcję na Europę. Byłoby wielkim ułatwieniem dla sprzymierzonych, gdyby mogli izolować Tunis od Europy. Na razie nie mogą tego osiągnąć. Pomimo wielkich strat jakie zadają Niemcom lotnictwo i marynarka sprzymierzonych, utrzymują oni w dalszym ciągu komunikację morską między Sycylią i Tunisiem. Ponadto mała odległość Włoch od Tunisu ułatwia transport lotniczy. Celem strategii anglo-saskiej na Morzu Śródziemnym musi więc być w pierwszym rzędzie całkowite opanowanie przestrzeni powietrznej nad tym morzem. Pozwoliłoby to z jednej strony na ponowne uruchomienie drogi wodnej z Gibraltaru i Suez i umożliwiłoby kompletną izolację Tunisu.

W północnym i środkowym Tunisie toczą się walki ze zmiennym szczęściem. Doniosłość ich nie przekracza jednak na razie ram lokalnych. Rozstrzygnięcie zapadne na froncie, na którym walczy VIII armia.

WOJNA W POWIETRZU I NA MORZACH

Lotnictwo sprzymierzonych prowadzi w tej chwili nieprzerwaną serię nalotów na Niemcy o nieznanych dotychczas rozmiarach. Szczególnie ciężko bombardowany był Berlin. Ponadto nalotom uległy Essen, Wilhelmshafen, Norymberga, Kolonia. Bombardowano też szereg obiektów w krajach okupowanych w m. francuskie porty w St. Nazaire i Lorient. Wielki sukces odniosło lotnictwo sprzymierzonych na Pacyfiku, gdzie atakami z powietrza zniszczony został wielki konwój płynący do Nowej Gwinei. Konwój ten składał się z 10 okrętów wojennych i 12 transportowców. Wszystkie te okręty zatoniły, a 15000 żołnierzy japońskich poniosło śmierć.

Zniszczenie tego konwoju stawia w ciężkiej sytuacji wojska japońskie znajdujące się na Nowej Gwinei i Nowej Brytanii. Uniemożliwia też

podjęcie przez Japończyków w najbliższej przyszłości ofensywy, którą ostatnio zapowiadali.

„CZYSTKA” W NIEMIECKIEJ MARYNARCE

Po zmianie na stanowisku głównodowodzącego marynarką niemiecką, które po admirałe Raederze objął admirał Doenitz, nastąpiła generalna „czystka” na stanowiskach wyższych dowódców floty niemieckiej. Sześciu admirałów zajmujących naczelne stanowiska zastąpiono młodszymi ludźmi.

Czynnikami londyńskie komentują tę zmianę jako zapowiedź wzmocnienia aktywności floty niemieckiej i włoskiej. Nie ulega bowiem wątpliwości, że marynarkę włoską również poddano niemieckiemu kierownictwu. Wskazuje na tę okoliczność nominacja na dowódcę floty na Morzu Śródziemnym jednego z najwybitniejszych oficerów marynarki niemieckiej, admirała Fricke. Otóż, jak wiadomo, Niemcy poza kilkunastu łodziami podwodnymi nie posiadają na tym morzu żadnych jednostek bojowych i nie jest rzeczą do pomyślenia, aby dla dowodzenia nimi odkomenderowano tego wyróżniającego się marynarza.

Niemcy orientują się, że na lądzie ani w powietrzu zwyciężyć sprzymierzonych nie potrafią. Zbyt wielka jest produkcja państw anglo-saskich a i liczbą żołnierzy w żaden sposób blokowi anglo-amerykańsko-rosyjskiemu dorównać nie mogą. Muszą więc Niemcy zastosować inną metodę. Mogą zwyciężyć tylko wtedy, jeżeli uda im się opanować kontrolę szlaków morskich i uniemożliwić sprzymierzonym transporty broni i ludzi z Ameryki i Wielkiej Brytanii na kontynent europejski.

Stoimy więc w oczekiwaniu wzmocnienia niemieckiej akcji na oceanach i na Morzu Śródziemnym.

O TONAŻ MORSKI SPRZYMIERZONYCH

Sprzymierzeni doskonale zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie przedstawiają niemieckie łodzie podwodne i z tego, że jeżeli chce się wygrać bitwę o Europę, należy uprzednio wygrać bitwę o Atlantyk.

Zwraca się też powszechnie uwagę na konieczność zwiększenia handlowego tonażu morskiego, którego przrost jest wciąż jeszcze za mały wobec dużych strat jakie powoduje działalność nieprzyjacielskich łodzi podwodnych.

Brytyjski minister wojny sir James Grigg ujawnił w Izbie, że w pierwszej fazie operacji w Afryce północnej floty aliantów przewoziły w okresie trzech tygodni 180.000 ludzi, 20.000 pojazdów mechanicznych i 220.000 ton zaopatrzenia. Wynika z tego, że na 9 przewiezionych żołnierzy przypada jeden pojazd mechaniczny, a na każdego żołnierza więcej niż jedna tona zaopatrzenia.

Ekspersi obliczyli, że dla przewożenia każdego żołnierza potrzeba przeciętnie pięciu ton żelugiu; wobec tego dla transportu armii liczącej milion ludzi trzeba użyć jednocześnie

nie flotę o wyporności przynajmniej 5 milionów ton. Są to cyfry które muszą być wzięte pod uwagę przy rozważaniach na temat drugiego frontu.

Brytyjskie koła zwracają uwagę, że w chwili obecnej floty sprzymierzonych rozsiane są po całym świecie i tonaż ich wykorzystany jest do ostatnich granic możliwości. Jest rzeczą bardzo wątpliwą aby mobilizacja jednoczesna tak wielkiego tonażu jaki jest potrzebny dla ewentualnej inwazji na Europę mogła się odbyć bez uszczerbku dla zadań, które obecnie są przez floty sprzymierzonych wykonywane. Wśród tych zadań jedno z najpocześniejszych miejsc zajmują transporty sprzętu i żywności dla Rosji.

ROZMÓWKI NIEMIECKO - WŁOSKIE

Groźby wypowiedziane ostatnio przez Churchilla pod adresem Włoch i ciężkie straty, jakie armia włoska poniosła w Rosji, spowodowały wizytę Ribbentropa w Rzymie.

Sam Mussolini stoi wprawdzie dalej na stanowisku wytrwania u boku Hitlera, ale nie ma wątpliwości, że nawet wśród najbliższych jego współpracowników znajdują się zwolennicy ugody z aliantami.

Zadaniem Ribbentropa było wpłynąć na poprawę nastrojów wśród Włochów. Hitler odesłał z frontu wschodniego część wojsk włoskich, z których i tak nie miał wielkiej potrzeby, za to żąda, aby Włosi wysłali większe kontyngenty na Bałkany, skąd Hitler zamierza wycofać Niemców, potrzebnych mu na wschodzie.

„Kurier Polski w Bagdadzie” nazwał tę sytuację „problemem za krótkiej kody”. Podciągiesz ją do góry — marzniesz w nogi; okryjesz nogi — musisz odstąpić pierś.

Koldra ta będzie coraz krótsza, rezerwy ludzkie „osi” wyczerpują się bowiem w szybkim tempie.

Z. R.

Odpowiedzi Redakcji

Władysław J. cki. Dziękujemy za impresję „Na malej stacyjce”, ładnie oddającą nastrój. Zamierzamy skorzystać

(s). Dziękujemy za reportaż sportowy. Za mało w tym życia.

Henryk Mi-ski. Dziękujemy za przysłane wiersze. Najlepsza „Pamiętka”, ale ją psuje ostatnia zwrotka — banalna.

E. Rubi. Dziękujemy za wiersze — nie skorzystamy.

Alfons M-c Dziękujemy za artykuł, dość ciekawy, ale przyciężko napisany. Zatrzymujemy na razie w tece.

A. Sm. Dziękujemy za reportaż z widowiska. Ten typ recenzji nie trafia nam jednak do przekonania.

Ludwik Z. a. o. Dziękujemy za ciekawą impresję. Zatrzymujemy w tece.

L. B. Dziękujemy za recenzję, wydaje nam się jednak, że zawiera zbyt mało treści.

Bogdan Z. n. Dziękujemy za artykuł. Postaramy się zamieścić.

Nad pustynią POWIEWA PROPORCZYK

Pół roku temu spotkała ich tutaj milcząca pustynia, szeroka, zasypa-
na kamieniami, obca, oparta na da-
lekim widnokregu o wysoką barierę
górskiego łańcucha. Wiatr niósł z tych
monotonnych, smutnych przestrze-
ni brudno-złote kurzawy piachu, nocą
wyły szakale. A dziś?...

Zapada właśnie wieczer. Góry od-
cinają się ostro od błado-różowego
nieba nasyconym fioletem szczytów,
pustynia stygnie i ze złotej przecho-
dzi w stalowo-szarą. Stoję na nie-
wielkim wzgórzu. W dole przede
mną leży miasto namiotów. Oparło
się jednym krańcem o brzeg rzeki,
drugim wybiegło w pustynię, ku gó-
rom... Zbudowali go sami, w ciągu
kilku dni. Dziś nikt by nie poznał
tej pustyni z przed pół roku. Cho-
dziłem wśród płóciennych domów
tego miasteczka przez cały dzień —
mam jeszcze w sobie pełno wrażeń
i obrazów. Schodzę wolno ze wzgó-
rza i idę w kierunku namiotów.

Miasteczko zamieszkują chłopcy
z amarantowo-białymi proporczykami
na czarnych, pancernych beretach.
Amarantowo-biały proporczyk
zatknięty na łańcuszek przed
namiotem dowódcy. To barwy kre-
chowieckich ułanów, to barwy jed-
nego z najwspanialszych pułków
polskiej kawalerii, który odrodzony
na śnieżnych orenburskich stepach,
tworzy dziś jedną z jednostek pan-
cernych naszej Armii na Wschodzie.

Żyje w tym miasteczku szarych
namiotów, żyje twardym, pustynnym,
żołnierskim życiem, szkoli się, przy-
gotowuje do swego żelaznego po-
wrotnego marszu.

Wśród namiotów biegają wytycz-
one równo ulice, po bokach chodniki
z kamieni. Na skrzyżowaniu dwu
takich ulic, obok kasyna oficerskiego,
olbrzymia podkowa obejmująca łukiem
proporczyk o barwach pułko-
wych — wszystko z kamienia. Kasyno
— to doprawdy zabytek „archi-
tektury płóciennej”. Jest holl i duża
sala jadalna tonąca w barwach
wszystkich kawalerskich propor-
czyków. Wiele rzeczy ciekawych
i godnych uwagi można znaleźć
w tym ułańskim miasteczku. Na
niewielkim pagórku w środku obo-
zu stoi mała kapliczka wtulona

w zielonkawę wnętrze namiotu. Przez
rozchylone płótno sączą się blade-
złote słońce i kładzie się ciepłymi
refleksami na twarzy Matki Boskiej
— Patronki tych amarantowo-białych
ułanów. A dalej, pomiędzy namiota-
mi, na niewielkim placu, który stano-
wi jak gdyby centrum tego mi-
asteczka dymią, kuchnie, ustawione
rzędem w długim murowanym budyn-
ku. Wzędzie panują wzorowy por-
ządek i czystość. Tutaj, na tym
placu skupia się w poza służbowych
godzinach życie całego oddziału. Tu-
taj znajdują się sklepik żołnierski,
doskonale zaopatrzone we wszystkie

i swobodny nastrój. Widać, że wszyscy
czują się tutaj dobrze, że przychodzą
często i chętnie. Może nie będzie to
zdrada tajemnicy, jeśli napiszę, że
jest to w części zastłaga trzech mło-
dych, uroczych panienek, które zaj-
mują się tą gospodą i dla każdego
mają serdeczny uśmiech i jakieś mi-
łe słowo. Przyjemnie było patrzeć,
jak szybko i zrećnie obsługują przy-
chodzących ułanów, nalewając kawę
i zajmując się całym tym niewiel-
kim wprawdzie, ale doskonale zor-
ganizowanym gospodarstwem.

Kawa i ciastka przypominają
najlepsze przedwojenne czasy,

rusza wolno po pustynnej drodze.
Na szybach zaczyna zlicić się wscho-
dzące słońce. Z daleka wyglądają jak
błyszczące paciorki przeplecione
szarą nitką drogi. Jadą na kilka go-
dzin w pustynię by szkolić nowych
kierowców. Za pierwszą linią wzgórz
słychać już suchy trzask karabinów
na strzelniczy, od czasu do czasu
targnie powietrzem głuchy wybuch
granatu. Przed świetlicą kołyszą się
anteny radiostacji i rozpoczyna swe
melodyjne sygnały brzczyk. Za nami-
otami przetaczają się z basowym
pomrukiem motorów i chrzęstem
gaśnic zółte cielska czolgów
i nikną w chmurach pyłu... I tak
idą dni, okrywając ułańskie miastecz-
ko szarych namiotów słońcem, chmu-
rami, deszczem lub piaszczystą ku-
rzawą hamsinów. Kiedyś zostanie
tutaj po nich kamienna podkowa
i amarantowo-biały proporczyk...

Dochodzę już do namiotu. Jeszcze
raz przystaję i obejmuję w zrokiem
stygające, stalowe niebo, daleki łań-
cuch fioletowych gór rozplywający
się wolno w zapadającej nocy i pa-
noramę płóciennego miasta. Obok
wartowni rysuje się wyraźnie syl-
wetka ułana z karabinem na ramie-
niu. Czujna, nieruchoma twardą
sylwetka. Może patrzy w tej chwili
na północny zachód, gdzie niebo
jeszcze krwawi się ostatnim, późno-
nym refleksiem słońca zakryt-go już
ciemną przyłbicą widnokregu.

Przed namiotem dowódcy rozply-
wa się i powiewa na lekkim wietrze
amarantowo-biały proporczyk. Tak
samo rozwiewał go kiedyś pęd kre-
chowieckiej szarży i pociski nie-
mieckich karabinów maszynowych
w wrześniowych bojach i tak samo
rozwiewać się będzie nad wieżami
czolgów, na których powróci do
kraju — jak dziś nad tą obcą, mi-
lczącą pustynią Wschodu...

Janusz Wedow



Uroczą trójką z gospody „Pod pancernym ułanem”

najniezbędniejsze towary, kasyno
podoficerskie, świetlica i gospoda
ułańska, boisko sportowe. Dzisiaj
właśnie byłam na zawodach koszy-
kówki. Gra była interesująca i żywa,
szybkie tempo, pewne i celowe po-
dania, ciekawe sytuacje pod koszem.
Sport cieszy się tutaj dużą popular-
nością. Zresztą zawody stanowią
jedną z zasadniczych rozrywek w tym
pustynnym życiu.

O zmroku w ogromnym namiocie
gospody „Pod pancernym ułanem”
jest gwarno i wesoło. Wszystkie
stoliki zajęte. Pomysłowe dekoracje
na ścianach, dużo światła, radio, gry
towarzyskie tworzą naprawdę miły

radio tętni jazzowymi melodiami,
wokóło dźwięczy gwar młodych,
wesołych głosów. Na ścianie wisi
parę numerów „Krechowiaka”, ga-
zетки ścisłej redakowanej własnymi
siłami, o barwnej, doskonałej oprawie
graficznej, zawierających szereg
ciekawych artykułów, nowel i wierszy.
Kilka razy w tygodniu odbywa-
ją się w tej świetlicy jakieś ciekawe
pogadanki, lub wesołe, przepłatane
muzyką i śpiewem wieczorki, wno-
szące dużo urozmaicenia i humoru
w codzienne życie oddziału. Gdzieś,
przy którymś stoliku wybucha czasem
głośno ułańska piosenka, którą pod-
chwytują wkrótce wszyscy i cała
gospoda rozbrzmiewa chóralnym
śpiewem. A potem już idzie jedna
za drugą, ta o malowanych dzieciach,
o rozmarynie i o tym, że „...taki los
już wypadł nam, że dzisiaj tu a jutro
tam...” I wreszcie, gdy z oddali przy-
leci głos trąbki wzywającej na apel,
pustoszeje gospoda, gasną światła,
a wkrótce pod rozgwizdzonym pu-
stynnym niebem brzmi łagodnie pieśń
modlitwy i rozplywa się w granatowej,
nieobjętej ciszy... Miasto szarych
namiotów zasypia, by nazajutrz
z donośnym dźwiękiem pobudki roz-
począć swój żołnierski dzień pracy.

I znowu po szerokich ulicach
miasteczka idą twardym, miarowym
krokiem szwadrony na zajęcia. Idą
z piosenką. Wesoła, ułańska melodia
ożywia bladą monotonię poranka,
przebiega wzdłuż namiotów i rozply-
wa się w dalekiej, budzącej się słoń-
cu pustyni. A potem zaczynają swą
rytmiczną, dźwięczną pracę motory
i długi rząd popielatych samochodów



Stary Krechowiak



Miło jest w świetlicy ułańskiej...

Współczesni Beduini

Nie przypuszczam, żeby ktoś z nas przebywających na Bliskim Wschodzie, wyobrażał sobie Beduina jako Farysa, pędzącego na wspaniałym rumaku z wichrem w zawody, lub jako wytwornego szreika, porywającego znużone życiem córki amerykańskich milionerów. Zbyt blisko się już z tym Wschodem „romantycznym”, „pełnym krasy”, „tajemniczym” zetknęliśmy. Ale mimo to, powiedzmy sobie, o prawdziwym Arabie wiemy w istocie bardzo niewiele.

Ważny np. samo słowo: Arab. Przywykliśmy nazywać nim każdego mahometanina, mówiącego po arabsku choćby to był Palestyńczyk, Egipcjanin lub Maur. Tymczasem wszyscy oni nie posiadają wcale albo niewielki procent krwi arabskiej w żyłach będąc potomkami podbitych i językowo zasymilowanych ludów, prawdziwym zaś Arabem z krwi i pochodzenia będzie Beduin, mający bardzo mało wspólnego z osiadłym na roli fellahem.

Istni ją nawet jednak i plemiona koczownicze, jak np. w Pustyni Zachodniej, które przyjęły zwyczaj arabskie, ale pochodzą od dawnych mieszkańców Libii. Takich niearabskich Arabów można bardzo łatwo odróżnić od prawdziwych. Prawdziwy semicki Beduin jest szczupły, z długim lub orlim nosem i ze skąpym zarostem. Arab, który potrafił sobie wyhodować wspaniałą, patriarchalną brocę, nie jest już stuprocentowym Arabem.

Najbardziej zapewne charakterystyczną cechą Beduina jest jego pogarda dla wszelkiego rodzaju pracy. Zawsze w wyborowych kołach beduińskich trzymano się zasady, że „praca hańbi” i spychano ją na barki kobiet i murzyńskich niewolników. Jak zaś zapatrywano się na trud rolnika dowodzi stara beduińska legenda o stworzeniu świata.

„...Bóg najpierw wziął wiatr i uczynił z niego człowieka — Beduina. Potem wystrzelił w powietrze strzałę i uczynił z niej wielbłąda; ze zwykłego kawala gliny zrobił osła, bydlę juczne, wreszcie z osła go gnoju ulepił rolnika.”

Głębieko zakorzeniona antypatia mieszkańca pustyni do osiadłego rolnika przetrwała od najdawniejszych czasów aż po dziś dzień.

Lecz cóż poradzić — świat staje się coraz niegościnniejszy dla koczowników. Już nie można dziś, jak to było jeszcze sto lat temu, rabować bezkarnie chłopów lub obkładać ich daniną. Nie można ścigać okupu z kupieckich karawan. Samoobłąd i samolot wykończyły już koczowników do ena. Przed tymi szatańskimi wynalazkami „Fregów” nie można się skryć nawet w najbardziej niedostępnych dawniej zakątkach pustyni. Tak więc rabunek trzeba wykreślić z środków utrzymania. Pustynia zaś nigdy Beduina nie żywiła.

Dopóki wielbłąd był jedynym na Wschodzie środkiem komunikacji, Beduin był jego hodowcą i dostawcą. Obecnie na wszystkich szlakach pustynnych wielbłąda zastąpił samochód. Zeby więc żyć trzeba się chwycić pogardzanego rolnictwa. Trzeba

uprawić choć kawałek pola, żeby mieć choć trochę jęczmienia dla siebie, rodziny i wielbłądów. Praca to ciężka i nieprzyjemna i nieraz słońce wypali zbiory, choć wtedy można się pocieszać tym, że nie trzeba zbierać zboża i młócić.

Władze wszystkich państw na których terenie koczują Beduini, starają się wszelkimi sposobami zachęcić ich do życia osiadłego ale to idzie ciężko i opornie. Tysiąclecia koczowania stały się u nich instynktem i Beduin zostawia nieraz dobrze obiecujące pole prosa lub ogród owocowy, by pognać swe stado, składające się w najlepszym wypadku z kilku kóz i owiec o kilkaset kilometrów, gdzie wzrosła świeża trawa po deszczach. W takim wypadku bywa, że diabli biorą nie tylko ogród i pole, ale także i część stada, lecz Beduin jest zadowolony. Ani mu do głowy nie przyjdzie, że mógłby swe „stado” z powodzeniem paść na miej-cu.

Czas dla Beduina nie istnieje. Był wypadek, że koczownik szukał skradzionego wielbłąda przez 18 miesięcy, dokonując inspekcji około 200 tysięcy zwierząt, nim odnalazł swoje. Wielbłąd był wart około 6 dinarów. Gościnność Beduina jest przysłowioiwą. P. mimo wielkiego ubóstwa odda gościom wszystko, co posiada, natomiast uważa za śmiertelną obrazę jeżeli ktoś nie zechce skorzystać z jego zaproszenia.

Wielką jego namiętnością, która mu zastępuje nasze kina, teatry i radio jest prawowanie się i zajądki. Z. j zdy jest to rozrywka, dla kór j nasze czasy nie mają zrozumienia. Naz. wają je rabunkami, c. oć Allah widzi, że tu chodzi nie o te kilka wielbłądów, a o zabawę. Prawda, czasami bywają wypadki z pow. du nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Ale przecie i przy gize w piłkę ludzie łamią ręce i nogi.

Prawo ar. bskie, to najstarsze prawo świata. Prawa Moj esza, stworzone około 1500 lat przed Chr. opierały się na pojęciach prawnych takich samych, jakie regulowały życie plemi n arabskich od niepamiętych czasów. Różnica między prawem beduińskim a naszym jest ta, że u Beduinów jednostką prawną jest plemię lub rodzina, a u nas człowiek. Ząb za ząb, oko za oko było zasadą stosowaną j. szcze do ni. dawna co oznacza, że jeżeli Beduinowi obcięto rękę w walce, starał się obciążyć rękę swemu przeciwnikowi. W razie jeśi go nie m. zna było od ależć, ohe. m. rękę p. erwszemu lepszemu członkowi plemienia, do którego winowajca n. leżał.

Zumsta krwi była pierwotnym wynikiem stosowania takich zasad prawnych. Lecz zbyt długie jej stosowanie staje się w końcu męzące i niebezpieczne, gdyż pomstwienie jednego morderstwa powoduje kilkanaśc. nowach. To też Beduini wynaleźli sposób zamiany przelanej krwi na gotówkę. Życie ludzkie ocenione zostało na 40 wielbłądów. Stracona w walce noga jest warta 10, oko — 18, ręka — 14. Za skradzioną żonę trzeba zapłacić 30 wielbłądów. Złapenie bywa procesem skomplikowanym, gdyż sąd szejków m. że nakazać, że tyle a tyle wielbłądów ma

być w wieku lat 3, tyle a tyle 4-letnich, tyle a tyle wielbłądzic. W wypadkach morderstw jednostka płatnicza jest niewolnik lub niewolnica. Ale nie oburzajmy się — niewolnictwa dziś w Arabii już nie ma, zaś niewolnik lub niewolnica znaczy po prostu 5 wielbłądów.

Kobieta cieszy się w pełni opieki prawa i napastowanie jej jest surowo karane. Jest to zrozumiałe, jeżeli się weźmie pod uwagę, że kobieta musi chodzić sama po pustyni by doglądać stad, przynosić wodę i drzewo, gdyby więc jej to umożliwiono, pracą musiałby zająć się sam pan i władca.

Kara za zgwałcenie kobiety w dzień wynosi około 100 din. i połowę tej sumy, jeżeli zgwałcenie odbyło się w nocy. Uważa się, że kobieta musi chodzić w nocy siedzieć w namiocie z rodziną, a skoro się włóczy — no to sama sobie wianna.

W kwestii zamążpójścia kobieta ma tylko wtedy możność dokonania wyboru, jeżeli jest wdową lub rozwódką. W przeciwnym razie musi iść za mąż za człowieka, którego wybrali jej rodzice.

Ceremonia zaślubin jest bardzo prosta. Pan młody przyprowadza wielbłądy, którymi płaci za żonę (cena wynosi od 1 do 5 w zależności od wdzięku damy); gdy przyjęto j. ojciec panny młodej daje mu „kassala” zieloną gałązkę, którą ten przez 3 dni nosi w swym nakryciu głowy. Wieczorem odbywają się tańce przy akompaniamencie klaszkania w ręce i bezpośrednio potem młoda para łąduje: swe manatki i udaje się na nowe obozowisko. Beduinka rzadko jest przywiązana do męża, lecz zdarzają się i romantyczne małżeństwa z miłości, gdyż

córa pustyni posiada więcej niezależności niż mahometanka z miasta i potrafi przeprowadzić swą wolę.

Zdrady małżeńskie też się niezrządsko zdarzają, choć zdradzonemu ma prawo w ciągu czterech dni od wykrycia zdrady położyć trupem kochanka lub któregośkolwiek mężczyznę z jego rodziny. Jeżeli zdradziony był starszym, rozsądnym panem, który woli gotówkę niż nie pozbawioną ryzyka zemstę, lub też jeśli nie zdążył jej wyrwać w przeciągu czterech dni, wówczas otrzymuje 30 wielbłądów i odchodzi bez płamy na honorze.

Namiętność do prawowania się, o której wspominałem, wyławodowyuje się przeważnie w sprawach cywilnych, które bywają wnoszone na zbierające się co pewien czas sądy szejków. Najlubiejszym tematem są spory o granicę. Bo niech się nam nie wydaje, że pustynia jest bezpańska. Nic podobnego.

Każde plemię ma swe ściśle określone trytoria i niech no tylko pojawi się jakiś Europejczyk i pocnie czegoś poszukiwać, natychmiast jak z pod ziemi pojawi się właściciel i dobywszy ze skórzanej torby, którą stale wozi jakieś dokumenty udowodni, że to właśnie miejsce jest jego własnością. Lecz te dokumenty są zazwyczaj ogromnie mętne i jeżeli teren na prawdę stanie się wartościowy (kopalnia, źródła nafty) wówczas pojawi się wielu właścicieli. Procesy bardzo długie toczą się nieraz o półko jęczmienia, które rodzi kilka miarek. Tutaj już chodzi nie o sam obiekt, a o przyjemność procesowania się i nawet przymierający głodem Beduin zawsze znajdzie kilkanaście dinarów na proces. Bo przecie życie jest tak nudne.

Bronisław Z.



Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill dokonuje przeglądu amerykańskich oddziałów szturmowych tzw. Rangers.

